

Artur Grabowski: Andrzeja Bobkowskiego pisanie po polsku

Bobkowski potrafił być bezczelny, ale raczej w relacjach z etatowymi literatami, których lekce sobie ważył, z europejskimi strasznymi mieszczuchami, których przerastał swoją sarmacką brawurą, zabrakło mu jednak bezczelności w narzucaniu się samej literaturze – pisze Artur Grabowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Bobkowski. Szkice z wolności”.

1.

Po jakimu pisze Andrzej Bobkowski? Nie o język etniczny pytam, nie o mentalność szczepową, czy o historycznie ukształtowany charakter, lecz o tę „jakość”, która nie tyle walorem by była, ile swoistym uchwyceniem świata, zaciśnięciem w jedną pięść wielości rzeczywistości. Jak więc pisze, językiem jakiej literatury, z jakich czerpie źródła potoczność swojego stylu, nadzwyczaj przecież wartkiego, w skojarzeniach skocznego, a prosto walącego przed siebie, niczym górski strumień? To pytania niebagatelne, bo zdaje się, że autor arcydzienników i arcylistów, które układają się w biografię o wymiarach epepei, był w takim właśnie, nieokreślonym gatunkowo pisaniu swoim, arcypolskim pisarzem – z istoty i z atrybutów sądząc. Mamy się z nim z czego cieszyć! Ale czy naprawdę do śmiechu nam z tą naszą (w nim) narodową przypadłością?

Andrzej Bobkowski stworzył dzieło ze słów i z czynów. Jego wybitna diarystyka, również ta epistolarna, stała się narzędziem wykreowania postaci „Andrzeja Bobkowskiego” - dojrzałego młodzieńca, wiecznie chłopięcego męża, kosmopolitycznego patrioty Europy, którą ukochał jak Polskę i którą porzucił jak niewierną kochankę, żeby nie stracić związanych z nią pięknych wspomnień. Bohater jego dziennikowych powieści (w sumie dwóch: *Szkice piórkiem* i *Z dzienników podróży*) zapadł w pamięć już swoich współczesnych, ale dogłębnie nurtował dopiero myśli pokoleń późniejszych, a na aktualności nie stracił i dzisiaj. Bo nawet ci, których temat wojenny skutecznie odstrasza od czytania, jeśli zdecydują się otworzyć grubą księgę zapisków z wojaży po Francji przydeptanej niemieckim butem, nie będą w stanie oprzeć się urokowi opisu przygód cyklisty, spędzającego wakacje w czasie i w miejscu rodzącego się horroru. Powieść drogi pożeniona z intymnym dziennikiem, historiozoficzny traktat z przykładami wpisany w historię upojnej podróży przez ziemskość w jej najpiękniejszych wcieleniach, dzieje dojrzewania do esencji nieśmiertelnej młodości i dojrzewanie do dziejów człowieczeństwa odkrywanego w jednostce – o tym jest *Bobkowski*, dzieło pisane autorem.

A przecież nie jest to wcale auto-biografia! Raczej auto-historia, czyli dzieje cywilizacji przepuszczone przez dzianie się życia jednostki. Cywilizacja to na wskroś „zachodnia”, ale w swojej śródziemnomorskiej wersji, bardziej nawet niż francuskie, włoskie czy hiszpańskie memuary z tamtych czasów emanująca łacińskim duchem i katolicką, nie koniecznie eklezjalną, wrażliwością. Polski autor mówi co prawda z polskiej perspektywy, ale nie zwraca się wyłącznie do rodaków. Właściwie gada po europejsku, w imieniu Europy i do Europejczyków. Ot zobaczcie, jak „Polak mały” potrafi napisać – lekko a mięsiście – o waszej upadłej wielkości. Jego dziennik wojenny jest literaturą

jednocześnie na wskroś intymną i dogłębnie polityczną, a więc taką, jaką można było stworzyć tylko po polsku. Gdzież bowiem, jeżeli nie nad Wisłą, mieszkają dusze przejęte „waszą i naszą wolnością” tak mocno, że aż serdecznie?

*Dziennik wojenny
Bobkowskiego jest literaturą
jednocześnie na wskroś
intymną i dogłębnie
polityczną, a więc taką, jaką
można było stworzyć tylko po
polsku*

Polski pisarz pisze więc o tym, co mu Historia pisać przeznaczyła, i w tym jest pisarzem uniwersalnym. Autor powieści o Francji pisze oczywiście o wolności z polskiej perspektywy, ale jest

to przecież punkt widzenia Człowieka ukształtowanego przez Europę; tę Europę, zniewalającą Polaka przez stulecia z zachodu i ze wschodu. Czy to w urządzonym po niemiecku Paryżu, czy w doznającej wiecznych turbulencji politycznych kosmopolitycznej Gwatemali, ten Polak żyje wolnością, gdyż tak żyje się po polsku. Dzieła przezeń stworzonego nie sposób rozciąć na odrębne utwory, bo zlewa się ono w jedną bryłę. Kształt tego diamentu nieregularny jest wprawdzie i nie w każdym detalu równie świetnie oszlifowany, ale właśnie dzięki temu niepowtarzalny, że granice konwencji przekraczający tyleż radykalnie, co elegancko. I udaje mu się rzecz niemożliwa – namiętna proza, ujmująca w retoryczne kadencje myśl analityczną i sąd krytyczny.

Wzorem wielkich polskich romantyków ten uczeń Oświecenia wierzy w moralne uzasadnienie czynów obywatela rzeczypospolitej ludzi rozsądnych i miłujących bliźniego, aczkolwiek wstrzymujących się od

sympatii do pospolitych szubrawców. Jednostkowe doświadczenie jest dlań miarą realności Historii, nie dlatego, że jest ona jedynie narracją, lecz dlatego, że jest osobistą spowiedzią z uczynków jej współtwórcy. Warunków myślenia nie dyktuje mu żaden Duch Dziejów, dlatego ten Polak czuje się za Europę odpowiedzialny i za nią się wstydzi, kiedy w godzinie próby jego umiłowana nie może sprostać pryncypiom, które sama sobie wyznaczyła. Jemu wstydzić się godzi, bo niewielu ma sobie podobnych w ojczyźnie; niewielu wszak polskich artystów może pochwalić się dziedzictwem racjonalizmu przejętym na własność i ze szlachecką samowolą. Nawet panicza Witolda nie było stać na więcej niż podrygi i wierzgania przeciw Francuzikom, a pan Andrzej pozwolił sobie na otwarte potępienie francuskiego zaprzaństwa, czyniąc to na dodatek bez resentymentu cechującego przegranych. Nie był natchnionym prorokiem, nie był nawiedzonym Słowem wieszczem. Sławetną trafność jego politycznych diagnoz zrodził zdrowy rozsądek, bo przecież ani Niemcy, ani Rosja, ani nawet Francja nie zachowały się jakoś oryginalnie, lecz właśnie przewidywalnie, więc wystarczyło nie ulegać sentymentom, żeby bieg historii przewidzieć, przynajmniej co do kierunku. Bobkowski nie był nadzwyczajnie przenikliwym politologiem, był logicznie myślącym ekonomistą, i to właśnie mocne osadzenie w ciele ugniecionym z ludzkich potrzeb sprawiło, że czuł wyraźnie, co ludzi dotyka.

A przecież ten pisarz nie narzeka! A przecież mógłby, bo katastrofizm uchodzi w literaturze za symptom elitarnego geniuszu. Bobkowski jednak bardziej bał się elitarności niż tęsknił za geniuszem. Dlatego zamiast egzystencjalizować na modłę Sartrów, dobrze urządzonych na filozoficznym rynku ówczesnej Europy, nasz nikomu nie znany skryba opisuje szczęście, ale rozumie je na sposób cokolwiek chłopięcy: jako swobodę, jako niekonieczność, jako pewnego rodzaju nirwanę i unoszącą w przestworza lekkość. Oto zjeżdża na rowerze z góry,

nabiera prędkości, przekracza granicę panowania nad sobą: „Teraz, kiedy to piszę, czuję, że pękło coś we mnie. Może nastąpiło zerwanie z przeszłością. Nareszcie. Jestem wolny w tym zamieszaniu. Może nawet zerwałem z samym sobą. Wspaniale. Rozpiera mnie.” On, ten tak przecież od siebie tylko zależny obywatel żadnego państwa, spełnia jakieś atawistyczne marzenie o staniu się ciałem absolutnie współczesnym, sobą wyzbytym pamięci o swoim. Ciekawe, że pisze to młodzian dwudziestokilkuletni, a nie mężczyzna w kryzysie wieku średniego, który faktycznie miałby się od czego uwalniać. Nasuwa się podejrzenie, że persona narratora *Szkiców piórkiem* to postać nie tak zupełnie partykularna, raczej jakiś bohater Historii, którego życiorysem nie jest indywidualna biografia, lecz dzieje narodów Europy; bo przecież nawet nie Polski jedynie. To właśnie ten dystans do siebie przy zachowaniu intymnej szczerości cechuje diarystę, który mimowolnie staje się powieściopisarzem.

Bo trzeba powiedzieć, że Bobkowski swoją wymarzoną powieść napisał, chociaż zapewne o tym nie wiedział. Napisał ją w dwóch starannie, a więc świadomie skomponowanych dziennikach podróżnych[1] i w kilku cyklach epistolarnych, które tylko pozornie skomponowały się same, bo ich autor doskonale zdawał sobie sprawę z natury własnego talentu, kiedy przyznawał, że listy pisze zamiast literatury... Na której wyzwania nie miał śmiałości odpowiedzieć? W tym lęku tkwi zapewne jakaś wielka ambicja, stojąca na drodze do spełnienia. Może ideał, którego nie sposób osiągnąć? Czy nie ma w tym czegoś z polskich kompleksów i polskich marzeń? Czasami myślę, że nie masz nad Bobkowskiego pisarza w Sarmacji XX wieku. Pisarza tą sarmackością natchnionego i nią też złamanego.

Jak więc się Bobkowskiemu pisało z ducha polszczyzny? Przygodowo, ale jakby bez akcji, z fantazją, ale bez fabuły. Wszystkie jego pisma, te dokumentalno-intymne i te fikcyjnie-objektywne, to właściwie ekfrazy widoków, zapisy audiosfery i ślady po dotknięciach. Przygodom brak wymiaru wydarzeń, autor ogranicza się do naszkicowania scenki, którą okala komentarzem, czyniąc z niej to anegdotę, to znów *exemplum* dla jakiejś ogólnej refleksji. Jego opisy są malarskie w tym sensie, że nazywają barwy, a porównania odsyłają zawsze do materii; nigdy nie pozwala sobie na surrealne salto, które dałoby się wykonać tylko na trampolinie języka. Nie jest to jednak bezpośrednio widzenie rzeczywistości lecz pejzaż zapośredniczony w sztuce, rzucony na płótno kultury portret Rzeczy znanej człowiekowi z imienia, zdjęty z natury wizerunek w stylu któregoś z realistycznych malarzy. W zasadzie unika metafor, dlatego, jak podejrzewam, że zbyt trąca poezją, za to potrafi sprząc konkretny obraz ze słowem trafnie wrzuconym z sąsiedniego ogródka skojarzeń. „Wyjmowana z wiaderka butelka lubieżnie ociera się o kawałki lodu”[2] – to z opisu potańcówki, która odbywa się za ścianą, a więc narrator tylko słyszy odgłosy zabawy, a więc jest to zapis sceny wyobrażonej, a więc w istocie relacja z tego, co dzieje się w umyśle narratora. Każdemu takiemu „więc” możemy przypisać wartość wniosku, bo w tej prozie kompozycja zdań tak ściśle splata tekst w wyrazistą makatkę widzialnego świata, że można ulec złudnemu przekonaniu o tego świata istnieniu tak właśnie i bezalternatywnie.

Moc przekonywania, moc, nie ukrywajmy, narzucająca czytającemu jedynie prawdopodobny ogląd, stanowi o jakości pisarza realisty, który wszakże nie chce być dokumentalistą, a raczej impresjonistą i kolorystą dokładnym jak szczegółowa mapa kosmosu. W realizmie, na dodatek popartym jawną autobiografią, tkwi bowiem intencja totalnego

*Świat ze Szkiców
piórkiem wciąga nas jak
zapach między zioła, jak
romans bez zobowiązań, ale
już nie jak kryminalne
śledztwo i nie jak czeluść
jaskini*

zagarnięcia uwagi
czytelnika, aby
zapanować nad
zmysłami jego
umysłu: zmysłem
krytycznej
podejrzliwości i
zmysłem bezwolnej
rozkoszy zarazem.
Toteż świat ze
Szkiców piórkiem
wciąga nas jak

zapach między zioła, jak romans bez zobowiązań, ale już nie jak kryminalne śledztwo i nie jak czeluść jaskini. Rowerzysta, szurający wieczorami ołówkiem po kartkach notatnika, odpoczywający w pozie pólężącej pod rozłożystym dębem lub na skraju winnicy (tak go widzę), pisze o tym tylko, czego da się doświadczyć przez otwory zmysłów, albo o tym, co wysnuwa się spowite w myśli z fałd nie mniej cielesnego mózgu.

Jakże francuską byłaby ta powieść o młodym, wysportowanym intelektualistcie, który doświadcza słodyczy swojej ojczyzny, zachłystując się szczęściem bycia sobą, gdyby nie szyderstwa miotane w twarz francuskim cnotom, i to bynajmniej nie tym odwiecznie rycerskim, nie tym świętoszkowato katolickim, lecz tym porewolucyjnym: burżuazyjnym, sklepikarskim, pieczeniarskim. Bobkowski nie przemawia bynajmniej z pozycji obrońcy poniżonej demokracji, nie jest apologetą egalitaryzmu, ani tym bardziej fraternalizowania się z prostym człowiekiem. Przeciwnie, bez odrobiny poprawnościowego zażenowania obnosi się ze swoją sobiepańską wyższością nad konformistami wszelkiej motywacji, a nawet mianuje

swojego towarzysza podróży, prostego Tadzia, swoim Szancopanssem, z Bożej łaski przydanym mu dla odegrania przed tym chłopczyną roli mentora. Wciela więc nasz pisarz pewien archetyp literacki, przechadzający się po gościńcach Europy... Ale, czy zmierza dokądś, czy może tylko przemyka się na rowerku między posterunkami żandarmerii, która na razie podzieliła między siebie Francję, żeby wkrótce podzielić się całą Europą?

Jeszcze za życia Bobkowskiego, wówczas autora zaledwie jednej powieści-dziennika i zbioru opowiadań, cenili go najznakomitsi polscy pisarze: Józef Czapski i Kazimierz Wierzyński, Jerzy Stempowski i Jarosław Iwaszkiewicz, czy wreszcie przyjaciel Andrzej Chciuk ale też, bynajmniej nie skłonny do uznania dla realistów, tym bardziej emigracyjnych, Wilhelm Mach, czy wybitni krytycy: Tymon Terlecki i Jan Błoński. Potem, już po śmierci mistrza z dalekiej Gwatemali, posypały się w Polsce pochwały, a nawet zachwyty, poświęcono mu wnikliwe eseje (Zimand, Ćwikiński, Dybciak, Zagańczyk, Stabro, Sulikowski, Fiut, Podolska...) i książki (zbiór szkiców Macieja Urbanowskiego, monografia Macieja Nowaka). Dla pokolenia „bruLionu” stał się wręcz idolem, choć może bardziej jako osobowość, chuligan i outsider, uosobienie naszej (przytaczam z własnej pamięci) niezgody na konieczność wyboru między od dawna martwą komuną a szykującym się do objęcia władzy towarzyskim establishmentem opozycji. Fascynował pokolenie przełomu (Paweł Huelle, Andrzej Stasiuk) ale i budził kontrowersje (Andrzej Horubała). Bobkowski był samotnym i samowolnym indywidualistą, konserwatywnym liberałem, niepokornym ale i nie nowomodnie „otwartym” katolikiem, ryzykantem i wagabundą. Podobał nam się jego antyestetyzm i traktowanie literatury z nonszalancką prywatnością, umiejętność pisania ze źródła osobistego doświadczenia, a przy tym niekoncentrowania się na swoich bebechach, lecz odważnego

wyrażania sądów o ludziach, o społeczeństwie, o polityce, wreszcie – o Polsce. Nie musieliśmy zawsze się z nim zgadzać, żeby uznawać go za wzór Polaka, jaki miał zamieszkiwać nasz kawałek europejskiej podłogi. Wiedzieliśmy, że trzeba nam nie oglądać się na innych, bo odzyskaliśmy naszą europejską parcelę po latach, w których inni urządzali nam łaskawie wynajętą miejscówkę między narodami, uważającymi się za gospodarzy cywilizowanego świata. Instynktownie czuliśmy też, że ten Gwatemalczyk z wyboru, który Polakiem był z miłości do tego, co własne, będąc wzorem człowieka, był właśnie dzięki temu wzorem pisarza. Bo, jak pisał Jan Zieliński, to, co w pisaniu Bobkowskiego „najcenniejsze mieści się na pograniczu literatury i życia”[3]. Ale nie tylko dlatego, że uprawiał „życiopisanie” (robili to przecież w kraju znakomicie: Edward Stachura czy Miron Białoszewski), ale dlatego, że zaproponował literaturę w arcypolskim gatunku – dokumentalnej i fikcyjnej zarazem gawędy. Przecież od *Pamiętnika* Paska poczynawszy, przez Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza*, na *Dzienniku* Gombrowicza nie skończywszy, ciągnie się taki rodzaj pisania przez naszą rodzimą mowę w najróżniejszych wariacjach, zawsze jakimś dziwnym trafem wybijając się na niepodległość pośród wpływów anglosaskich upartych realistów i francuskich niezaspokojonych nowatorów powieści.

Jego dziennikowe zapisy układają się przecież w powieść, której przedmiotem są nie tyle przygody głównego (a właściwie jednego i tego samego) bohatera ile tegoż Człowieka, a powiedzmy śmiało: również tego Mężczyzny, narastający portret. To właśnie rozwój, psychiczne i umysłowe komplikacje i uproszczenia Protagonisty narracji, jego rozpychanie się w świecie za ciasnym na jakąkolwiek Jaźń oraz rozbijanie sobie arystokratycznej Animy i szlacheckiego Cogito o twarde Ratio mieszczańskiego materializmu, są treścią opowieści Bobkowskiego o „Bobkowskim” – zsumowanej sumieniem trójjedni

*Bobkowski wiecznie młody,
wiecznie debiutujący, zaiste
płynnie nurtem
najgłówniejszym, najbardziej
rwącym polskiej literatury. I
może dlatego potyka się w
swoim biegu przez tradycję o
jakże polską przeszkodę*

Don Kichota,
Kandyda i Pickwicka.
Jeśli porównać
bohatera polskiej
gawędy – na poły
dziennika i
pamiętnika, na poły
eseju i przypowieści,
na poły listu i
wyznania – do
bohaterów literatury
francuskiej,
niemieckiej,

angielskiej, amerykańskiej, czy rosyjskiej, to okaże się nasz wzorcowy Beniowski, sarmacki zawadiaka z duszą nie na ramieniu, a na obliczu jasnym, ma się aż nadto kontrastowo do francuskich karierowiczów, zgonionych za społeczną pozycją, do niemieckich rozpoetyzowanych mędrków, co to z diabłem konszachtują w celu zapanowania nad niższą rasą, do angielskich sceptyków, zdystansowanych do świata tak, że nawet horyzont kolonialny nie obejmie ich nieludzkiego spojrzenia, do amerykańskich pragmatystów, udających szeryfa broniącego uciśnionych przed uciskającymi mocniej, do rosyjskich (żeby na tym skończyć tę wyliczankę) zbędnych ludzi, którzy spirytus mają za duchową strawę. Na wskroś przeszyte literackim obrazowaniem diarystyczne diatryby polskiego pisarza, jego reportersko syntetyczne i intymnie szczere spisy wrażeń i refleksji zszywają się nieodmiennie w prawdziwie „czułą narrację” (żeby zacytować wyjątkowo trafny bon mot z drewnianej prozy naszej uwieńczonej klasyczki) każdą zgłoską wygłaszającą pochwałę: polskiego charakteru, polskiego kodeksu personalistycznych wartości moralnych, polskiej niepokornej wobec autorytetów inteligencji, polskiego anarchistyczno-honorowego indywidualizmu, czyli cnót, które składają się na wzór polskiego

męstwa i polskiej dojrzałości w obliczu nowoczesnego świata – świata rządzonego przez zalęknionych starców, jednako zgrzybiałych i zdzieciniałych. Bobkowski wiecznie młody, wiecznie debiutujący, zaiste płynie nurtem najgłośniejszym, najbardziej rwącym polskiej literatury. I może dlatego to właśnie on potyka się w swoim biegu przez tradycję o jakże polską przeszkodę...

3.

Niewątpliwą słabością pisarstwa Bobkowskiego jest bowiem to, co zarazem jest jego siłą – skłonność do efektownego ślizgania się po zmysłowej powierzchni zjawisk przy jednoczesnym ostentacyjnym lekceważeniu literackich ambicji. Jego pełne smaków, zapachów, dźwięków i czuć na skórze opisy wydają się często jakby niewykończone, bo skończone na obrazie, wyliczeniu rzeczy i wrażeń, pozbawione językowych pokus i retorycznych występków, które w literaturze odbiór doznań przemieniają w dar mówienia pisaniem. Autor setek świetnych akapitów, precyzyjnie skomponowanych pejzaży i konterfektów pozostawia je zazwyczaj na poziomie szkiców właśnie, naskrobanych piórkiem, zamiast złamać na nich pióro i wystukać je z towarzyszeniem nieco mniej „naturalnego”, za to śmieiej „sztucznego” rytmu na maszynie. Ta jakaś samokontrola moralna każe pisarzowi chwytać się za język, żeby powstrzymać go od innowacyjnej samowoli, ale też i od inwencji. Proza z tego będzie przeto jędrna jak wytrenowane ciało, ale retoryczne okresy będą się w niej powtarzać, niczym ćwiczenia na siłowni. Jego obfita ziemskość zrazu fascynuje, kusi niemal seksualnie, ale z czasem zaczyna powszednieć, bo brak zalotnych wabików w postaci zmiennych gestów mowy nieuchronnie powszednieje. Gęsta materia człowieka doczesnego z dzienników (a jeszcze bardziej z opowiadań) imćpana Andrzeja wyłania się, i owszem,

w całej okazałości, ale autorską formułę „i ja tam byłem” nieczęsto nawiedza Conradowski mimowolny symbolizm, czy nawet Prusowska latarka znaczącego szczegółu, o których śladowej prawdzie czytelnik miałby szansę przekonać się samodzielnie i odkrywco, bez wspomagających wyjaśnień narratora. Realizm ten niemal zawsze zdradza swoją reportażową intencję, jawnie zmierza do wyjaśnienia tego, co obramowane w sposób eksponujący autorską interpretację, niejako uprzednią (w procesie twórczym) wobec tajemnicy zjawiskowości rzeczy odciskających się na języku. Prozie tej, jednym słowem, brakuje kuszących sekretów, jakie umysłowi czytelnika podsyła... swoisty erotyzm literatury, bezinteresowna namiętność pisania.

Bierze się to, zaryzykuję prowokację, z polskiego braku: germańskiej agresji myślenia, francuskiej beztroski i wyrafinowania, anglosaskiej ironii w komentowaniu ludzkich zachowań, rosyjskiej brawury w przekraczaniu granic człowieczego gospodarstwa. Bobkowski jako stylista zdaje się za bardzo wierzyć w to, że rzeczy mogą jawić się same w sobie, a ludzkiemu umysłowi wystarczy je rejestrować, zmysłom zaś wypełniać się ich materią, bo to samo w sobie jest sensem życia. Otóż, nawet jeśli zgodzimy się, że życiu wystarcza przeżywanie, to trudno zgodzić się, że jest ono jednocześnie wystarczającym walorem literatury. Literatura bowiem dlatego jest nam do życia potrzebna, że nie tylko zapisuje życie, ale jeszcze domaga się od nas, byśmy nad egzystowaniem naszym codziennym coś niecodziennego nadpisali. Tym czasem ten autor, niewątpliwie literacko świetny a intelektualnie atrakcyjny, nigdy (wiemy to z jego listów) nie miał odwagi uznać się za pisarza z krwi i kości. Manifestowany status wiecznego amatora miał mu zapewnić (w jego mniemaniu) niezależność od pogardzanych pismaków z paryskich, a wcześniej warszawskich, kawiarni, skręconych wokół papierosa i wydmuchujących w stronę sąsiedniego stolika dym

egzystencjalistycznie pokrętnych sylogizmów. Przekonanie takie, szlachetne jako osobowy styl bycia w towarzystwie, spowodowało jednak, że diarysta jakby lękał się dostrzec w sobie artystę. Przeto go w sobie do głosu nie dopuścił. Nie przeprowadzam tu bynajmniej psychoanalitycznej wiwisekcji duszy polskiego pisarza, przeciwnie, chcę raczej zwrócić uwagę, że cechę tę mam nie tyle za osobniczą, co za... plemienną.

Bobkowski jako stylista zdaje się za bardzo wierzyć w to, że rzeczy mogą jawić się same w sobie, a ludzkiemu umysłowi wystarczy je rejestrować, zmysłom zaś wypełniać się ich materią, bo to samo w sobie jest sensem życia

Bobkowski bywał pisarzem świetnym, osobowością barwną i szlachetną, ale artystą słowa wielkim nie został – bo zabrakło mu pewności siebie, która konieczna jest do tego, by do uniwersum literatury wprowadzić coś tak

wyjątkowego, żeby inni chcieli wziąć to sobie za narzędzie uniwersalne do poznawania się na ludziach. Bobkowski potrafił być bezczelny, ale raczej w relacjach z etatowymi literatami, których lekce sobie ważył, z europejskimi strasznymi mieszcuchami, których przerastał swoją sarmacką brawurą, zabrakło mu jednak bezczelności w narzucaniu się samej literaturze. Przy czym, nie mam na myśli wyłącznie stylu, mam na uwadze coś więcej – kulturalną politykę, może nawet geopolitykę. Polski gawędziarz, tak arcypolsko oryginalnym będąc, uwierzył chyba zanadto w jedną, jedynie godną wiary, tradycję. Nie zauważył, że żyje w świecie, który zdoła zaakceptować gawędzenie Paska pod warunkiem, że będzie to styl nie tyle „nowoczesny”, czyli zgodny z aktualnymi

trendami salonowej mody, ile właśnie... ponowoczesny, czyli nowoczesnością doświadczony i z tego miejsca po przebytej drodze ową nowoczesność i owe salony atakujący. Kiedy przybywa do Ameryki Południowej zdradza się mimowolnie: „Właściwie zawsze ciągnęło mnie gdzieś tu. Czuję, że wchodzę w ten zupełnie nowy świat jak w stary, wygodny pantofel”[4].

Bobkowski, pisarz z potencjałem europejskim, który bał się być pisarzem nawet polskim, uciekając z Europy i od Europy, dezertował z frontu toczącej się wojny o europejską kulturę. A przecież miał pełną świadomość, że ta wojna się toczy, a my, Polacy, nie tylko w niej nie bierzemy udziału, ale wręcz czujemy się tak zranieni i z powodu tej rany tak wyniośle ową wojnę lekceważący, że zamiast choćby zbroić się na przyszłość, unosimy głowy w tropiki, żeby stamtąd zadzierać nosa. Przebija ta postawa - powiedzmy wprost: prowincjusza - w jego sądach o sztuce awangardowej, zdradzających ograniczenie skali estetycznego smaku, w jego niemałej, ale jednak zamkniętej w monolitycznym księgozbiorze, erudycji, w prostocie, często trafnej, ale jednak nie bardzo głębokiej, a nawet niekiedy żenującej, jego sądów o świecie, z tą eurocentryczną (jednak!) ślepotą niezrealizowanego kolonizatora na czele.

Czy zatem Andrzejowi Bobkowskiemu należy się miejsce na Parnasie polskiej literatury? Tak, bo był pisarzem polskim w najlepszym tego słowa znaczeniu. Wielki tym, co mamy najlepszego.

Artur Grabowski

Fot. Polona.pl, fotograf nieznany

[1] Książka *Z dziennika podróży* została wprawdzie ułożona już po śmierci jej autora, ale wyraźnie widać, że poszczególne zawarte w niej teksty miały tworzyć cykl spójny tematem, czasem i sytuacją.

[2] Andrzej Bobkowski, *Szkice piórkami*, Warszawa 1995.

[3] Posłowie Jana Zielińskiego do tomu A. Bobkowski, *Szkice piórkami*, Warszawa 1995.

[4] Andrzej Bobkowski, *Z dziennika podróży*, Warszawa 2006, str. 122.